№ 21.

Warszawa, dnia 21 maja 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp, 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WYJĄTKI ZE WSPOMNIEŃ W. G.

(Dalszy ciąg)

RUINA MAJĄTKOWA.

Matka moja ze wszech względów wzór cnoty niewieściéj, jako tkliwa i przywiązana żona, zaś czuła i troskliwa aż z zaparciem się nawet siebie matka, jednak i tegoż samego co mój ojciec nie posiadała przymiotu owéj praktyczności w życiu domowém codzienném, to jest owego trafnego poglądu na materjalną stronę świata. Spędziwszy całe dzieciństwo niemal i młodość w murach klasztoru, i tylko od czasu do czasu, gdy posłano po nią w dnie jakich uroczystości domowych lub świąt, widując ten świat przez kilka chwil w salonach swéj matki, przedstawiany ciągle w kilkunastu egzemplarzach jednakowéj barwy i kroju, nie dziw więc że go poznała ze strony plastycznéj, ale jego natura, społeczne stosunki wewnętrzne, jego codzienne potrzeby i zwyczaje, a nadewszystko owa wiedza przeznaczenia kobiety w obszerniejszém znaczeniu jako obywatelki kraju, gospodyni domu i pani była jéj zupełnie obcą. Przymioty zaś żony i matki, które w wysokim stopniu posiadała, były wypływem świeżéj, poczciwéj nie zepsutéj ani zwarzonéj złém towarzystwem duszy, z potrzeby serca i swéj głębokiéj wiary religijnéj, którą też tak umiała zaszczepić w swoich dzieciach, że w rozlicznych kolejach, nieszczęściach, opuszczeniu zupełném i tylokrotnych niebezpieczeństwach życia, w jakich się późniéj znajdowałem, owa głęboka wiara, święty i drogi talizman poczciwéj matki, wszędzie i zawsze jak wybawcze światełko błyszczało, przewodniczyło i po dziś dzień świeci mi w każdéj ciemni mego życia. Zostawszy żoną, ujrzała się nagle przeniesioną w świat inny, ruchliwy, świetny, błyszczący, uroczy; otoczona czułemi staraniami męża, który jéj nigdy nie dozwalał zastanawiać się ażali zapotrzebuje kiedy pomyśléć o własnéj sile? ażali przyjdzie jéj kiedy poznać to różowe tęczowe życie z innéj ciemnéj filozoficznéj

strony? nic dziwnego, że płynąc tak lubo z dnia na dzień, po téj sklniącéj zwierciadlanéj pozornie przestrzeni, nie wiedziała, ani domyślała się biedna, czarnéj otchłani pod nogami: nie przeczuwała że ta łudząca żegluga, skończy się wkrótce smutném rozbiciem. Tu nie można całkiem składać winy i na ojca mego, był on bowiem również ofiarą niewłaściwego, niepraktycznego wychowania domowego. Żyć bardzo wcześnie i do tego całą siłą nikt mu nie wzbraniał, owszem czerpał on w każdym kroku środki do zapełnienia tego łudzącego bytu w młodości, w powabach ciała, dostatkach, a nadewszystko w przyrodzonéj miękkości i dobroduszności serca, które to liczne zawsze grono otaczających go niby przyjaciół, dla siebie skarbiła. Oni to zdołali łatwo wmówić w niego, że trudnienie się gospodarstwem, siedzenie na wsi w czasie siejby i żniw, nie zgadza się z tonem i z jego stanowiskiem mając do tego rządcę i ekonoma. Przyrodzoną zaś chęć poznania zwyczajów, natury i potrzeb tego ludu, nad którego bytem i pomyślnością winien był jako zwierzchnik czuwać i do niego niekiedy się zbliżyć, nazywali sentymentalnością, arkadyjskiemi wyobrażeniami, wreszcie romantyzmem, sielankowością i wszystko obracali w śmieszność.

Wiadomo całemu cywilizowanemu światu, że biada temu tak dawniéj jak dziś jeszcze, kto pośród niego żyjąc, staje się w czémkolwiek śmiesznym. Ale podobno po trzykroć biada nam, bo aż dotąd jeszcze jesteśmy bez poprawy i upamiętania, niewolnikami téj ślepéj opinji i fałszywego wstydu a zapominamy na grunt rzeczy i obowiązki nasze. Do lat ośmiu życia mego, wszystko się do mnie uśmiechało; rodzice tryb swego życia prowadzil ciągle jednostajny, jakby oparty na stałych nie wzruszonych posadach. Ja byłem jeszcze jedynakiem i jedynym też celem troskliwości i przywiązania obojga, a dobra matka w uroczych marzeniach, różową dla mnie śniła przyszłość. Ale w księdze wyroków naznaczoną już była godzina, która wnet miała wydzwonić, godzinę nagłego, nieprzeczuwanego przebudzenia. I wybiła niebawem.

Ojciec mój późno bardzo z przerażeniem przekonał się, że jego interesa są w najgorszym stanie. Dobra za Wisłą zniszczone ciągłym przechodem wojsk, do tego źle administrowane, poszły za bezcen w obce ręce, podobno pana rządcy. Na ulubioną zaś włość Cerekiew, kolebkę i grób naszéj rodziny, od dawna już zagięty był parol, bo tam ciężył dług stryja mego który się wypłaty dopominał. Przyszło więc na to, że za pół darmo i tę ostatnią własność, biedny mój ojciec sprzedał, z wymową trzechletniéj dzierżawy. Biedny! bo on dopiero w téj chwili może po raz pierwszy, uczuł w swém tkliwém szlachetném sercu, wszystkie męki piekła. On co świat i ludzi ukochał miłością bratnią i z całą bezinteresownością w swém niedoświadczeniu, wierzył że miał prawdziwych przyjaciół, i że ci ludzie, nie są tak jak mu mówiono nie raz, złemi wcale. Dopiero gdy ci sami, co wczoraj jeszcze przy jego stole przyrzekali mu dozgonną, bez granic przyjaźń, a dziś źle udaną gorszą nad wszystko litość, chcieli mu kłamaném obwinąć słowem, czczą formą bez najmniejszego udziału; gdy to poznał, stłumił głęboko w piersi całą gorycz doznanego zawodu, i z wzgardą odwrócił się od nich na zawsze. Ale za późno! potém całą myśl natężył nad środkami ratowania się jeszcze, ale to już niestety wszystko było za późno!

Zapewne w rękach zapobiegliwego i doświadczonego gospodarza, a nadewszystko nawykłego do scisłéj mierności, kapitał który mu pozostał jeszcze, zapewniłby byt niezależny, a nawet stałby się może środkiem do zrobienia na nowo majątku; tu zaś inaczéj wypadło. Rzucono się na liczne i znaczne dzierżawy, gospodarstwa były odległe i różnorodne, czasy wciąż niespokojne, przyszedł wylew wody, pomór bydła, zawikłania kontraktowe wynikłe z redukcji papierów, owo zgoła na tém się skończyło, że po trzech latach z uniesionemi szczątkami ruchomego majątku i skromnéj już summy pieniężnéj, pożegnaliśmy siedzibę gdzie przodkowie dość długim szeregiem tam się dziećmi kołysali, a potém snem wiecznym obok siebie zasypiali.

Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy wypakowane wozy wyruszyły z dziedzińca. Pojazd zajechał przed ganek, a rodzice otoczeni żegnającą ich z udziałem gromadą, księdzem plebanem, i nie wielu sąsiadami, ostatniém łzawém spojrzeniem poglądali na to własne nie dawno, dzis obce już lube, drogie zacisze. Na ten stary dom, te topole, lipy i ten kościołek, nieme świadki ubiegłego bezpowrotnie szczęścia.

Dziś jeszcze widzę ten wyraz twarzy bladéj mego ojca, to oko zapadłe, dziwnym gorączkowym jakimś tlejące ogniem, w którym każdy, prócz mnie dziecka, łatwo już mógł wyczytać, rychłe moje sieroctwo.

Matka moja cicho płakała, ale nie żaliła się wcale. Ona nie znała jeszcze wszystkich mogących przyjść następstw; nie pomyślała nigdy nad tém że są ostateczności. Zresztą tak polegała na swym mężu, że nigdy nawet nie życzyła sobie wejść w stan interessów jego, a nie widząc żadnéj zmiany w codziennem życiu, zkądżeby jéj na myśl

miała przyjść obawa? W dzień dopiero wyjazdu i opuszczenia na zawsze Cerekwi, ciemne przeczucia tłoczyć się poczęły w jéj duszy, ale jeszcze nie przewidywała aby tak źle już być miało. Płakała, bo wszyscy płakali, jednak widząc i tyle wozów ciężko wyładowanych i ten sam powóz z pięknemi końmi i całą służbę, niedopuszczała ostateczności, a choć ojciec był blady i niezwykłą przejęty boleścią, myślała sobie tylko: on się tu rodził, i groby rodziców swoich, zostawia pod strażą obcych zimnych ludzi, pojmuję jego boleść. Chcąc więc zakończyć tę niemą rozdzierającą scenę, wciągnęła go prawie do powozu.... Za chwilę zostało na zawsze za nami rodzinne sioło.

Między Staszowem a Stobnicą za Wisłą, ojciec mój objął znaczne dobra dzierżawą od kapituły krakowskiéj Piejsciec, pospołu ze swym siostrzeńcem z Wielko-Polski, młodym jeszcze człowiekiem którego dopiero przybywszy na miejsce pierwszy raz ujrzałem. Pan Józef, tak się mój kuzyn nazywał, był to wysoki blondyn, blady, o wielkiém melancholijném siwém oku, wiecznie prawie jak Anglik milczący. Pamiętam go w szafirowym ze świecącemi guzikami fraku, białych pantalonach, butach ze sztylpami i niedbale na szyi zawiązaną chustką. Na jedném miejscu godziny nieraz całe przesiadywał, w jeden punkt mając wlepione oczy, tylko od czasu do czasu, sardoniczny uśmiech przesuwał mu się po zaciśnionych ustach. Był to zresztą zbiór talentów i nabytych wiadomości; grał mocno na skrzypcach i flecie, robił piękne minjatury i pisał wiersze, szkoda tylko że nabiwszy sobie głowę subtelnemi spekulacjami transcendentalnéj filozofji niemieckiéj na uniwersytecie w Berlinie, nadweręży sobie jakiś organ mózgowy, i ztąd przy wielkim rozumie, pewny jednak nieład panował w jego głowie. I tak np. zdawało mu się że duch Napoleona opuściwszy S. Helenę, wstąpił w jego ciało, więc przybierał postawę tego bohatera, stawał się więcéj ponurym, lakonicznym i po całych dniach korrespondował z Marją Ludwiką i księciem Rejchsztadu; oskarżał przed Europą regenta Anglji i Hudsona Lowe: wreszcie kreślił plany i pisał konstytucje dla różnych państw. Mieszkał on na niedalekim od nas folwarku i miał swoją osobną służbę. W dniach téj napoleomanji wszyscy domownicy jego. ekonom, włódarz, lokaj i t. d. byli u niego marszałkami wielkiemi, adjutantami i innymi dygnitarzami państwa, do czego z czasem tak przywykli, że każdy znał raz na zawsze swój stopień i rolę.

Inną razą uroił sobie, że świat ma na niego uwagę zwróconą jako na swego wieszcza i oczekuje wielkich skutków potęgi jego pióra; wtedy całe noce przepędzał w ogrodzie, gdzie do księżyca deklamował głośno, swoje poetyczne utwory. Podczas tego przywidzenia dopókąd czém inném go nie zastąpił, zwykle obierał sobie pierwszy lepszy przedmiot, który w swéj czynnéj wyobraźni podnosił do rzędu niebianek. Nieraz znów pewnym był, że przewodniczyć ma wielkiéj orkiestrze, wtedy z najściślejszą solennością, wnosił pulpit na ganek, rozkładał nuty, dawał smyczkiem znak, i z całą powagą i godnością mistrza, grał wstęp szumny oglądając się od czasu do czasu po za siebie, choć tam nie było nikogo, czy wykonanie idzie należycie.

Z początku ludzie się z niego śmiali, potém litowali, a w końcu do niego przywykli, bo zresztą nie były to hałaśliwe, przerażające lub komubądź szkodliwe warjacje, lecz cichy melancholijny jakiś, niby wyrozumowany nieład wyobrażeń i myśli, który przy całéj smieszności świadczył jednak o sile i czynności nieustannéj ducha. Było to usposobienie z którém u Turków byłby poczytany za proroka lub świętego; my go warjatem nie nazywali także, ale dziwakiem.

Gdy rodzice moi namawiali go żeby się leczył on im na to z gorzkim odpowiadał uśmiechem:

— „Pozwólcie mi tak pozostać; chwile w których się do tego świata nie liczę, są dla mnie prawdziwém szczęściem. Ten stan mnie utrzymuje [1] gdybym zmuszony został, ciągle być jak np. dziś przykutym mocą zdrowego rozsądku, do téj brudnéj ziemi, uciekłbym z niéj gwałtownie. A ja ciebie mój stryju i dobra ciotko, jedynie na tym świecie kocham, chcę z wami tylko i dla was, ten byt, który uważam za czystą ironję przeznaczenia przeciągnąć. Zresztą ręczę wam, że dokoła was, tylko się przypatrzcie dokładnie, macie większych i niebezpieczniejszych odemnie warjatów, lecz że urojeniom tamtym świat przyklasnął, więc uchodzą za wielkich ludzi! Szarlatany!"

Na tém nowém miejscu naszego przeznaczenia, ojciec mój niezmiernie wziął się do gospodarstwa. Ściśle zastosowawszy się do położenia, poodprawiał zbyteczną służbę, została się tylko z dawnych stara Rodkiewisia i jeden zasłużony lokaj. Pan Antoni osiadł na dewocji w Krakowie, cugi przemieniono na folwarki robocze, i dom się cały zamknął. Taki stan jednak nie był mu właściwy, lecz przymuszony, wyrozumowany a nie naturalny, więc czuł się być w głębi duszy upokorzonym, a w oczach świata, z którym nie łatwo mu było zerwać całkiem stosunki, nadto nisko położonym. Wszystko też to razem wzięte, wywarło szkodliwy wpływ na jego zdrowie; do tego ciągłe zmartwienia przywiązane do drobiazgowego gospodarstwa,

niespokojność we dnie i w nocy o cały dobytek, ciągła rachuba, której wypadek ciągle go przekonywał, że dzieci jego będą ubogiemi, myśl i pierwéj jeszcze dobry humor truły mu, tak że w przeciągu dwóch lat, z prostego, pięknego człowieka, stał się pochylonym na lasce osiwiałym starcem, chociaż dopiero miał lat 42 niespełna.

Mnie liczącego 11 wiosnę życia, oddano do szkół licealnych w Kielcach, i umieszczono u znakomitego w naszém piśmiennictwie księdza Juszyńskiego; podówczas prefekta tamtejszego. Zdrowie moje było od pierwszych chwil urodzenia bardzo wątłe, życie moje, po raz drugi winien byłem, jedynie trudnéj do opisania troskliwości i pielęgnowaniu matki mojéj. Z tych to rąk pieczołowitych dostałem się nagle między ludzi obcych, zimnych, obojętnych. O! było to dla mnie zmartwieniem i męczarnią nie do opisania. Ale cóż było robić? Wziąłem się do nauki i szło to jakoś nieźle.

Już rok dochodził mego pobytu w szkołach, gdy razu jednego wywołano mnie z klassy. Wychodzę i spostrzegam moją poczciwą Rodkiewisię. Uradowany rzucam się jéj na szyję, ściskam, witam, pytając skwapliwie o rodziców i coby tutaj porabiała? Lecz ona uściskawszy mnie nawzajem, z uroczystą miną każe mi odejść do mojéj stancji, dodając, że cóś ważnego ma mi udzielić. Więc wracam do klassy, zbieram książki czémprędzéj, opowiadam się nauczycielowi, i śpieszę za nią. Tu zastałem już wszystkie moje rzeczy i pościel zapakowane, i księdza Juszyńskiego w progu, który pamiętam że tak do mnie z powagą przemówił:

— „Moje dziecko! jedź, ojciec cię wzywa aby cię pobłogosławił. Wolno ci będzie płakać, ale winieneś pamiętać, że Bóg dobrotliwy który go powołuje do siebie, będzie ci ojcem, bo on nim jest dla wszystkich wdów, sierot i opuszczonych. Stań się pociechą, a późniéj radą i podporą twéj matki i przewodnikiem młodszego rodzeństwa, bądź skromnym jak dotąd byłeś, miéj wiarę, miłość i nadzieję, a znajdziesz szczęście na téj ziemi takie, z jakiém tu spotkać się można. Bywaj mi zdrów mój synu, bo nie masz chwili do stracenia."

To mówiąc uściskał mnie, przeżegnał i wyprowadził, a ja nie będąc w stanie tak nagle zebrać myśli ani pojąć znaczenia słów jego, przeczułem jednak moje nieszczęście, bo rzewnie płakałem w drodze chociaż się już o nic nie pytałem. Ojca mego zastałem już dogorywającego nie w domu, ale w Staszowie gdzie się kazał zawieść. Ujrzawszy mnie, posępne czoło rozpromieniło się jeszcze, kazał mi do łoża przystąpić, a wzniósłszy do nieba łzą zaszłe szklące już oko, długo cichą szeptał modlitwę. Położył potém swą rękę na méj pochylonéj głowie, wskazał mi obok klęczącą we łzach matkę, do któréj tuliła się młodsza odemnie siostra, potém chciał coś do mnie mówić, alem już nie był w stanie, tylko wzrok jego zawisnął jeszcze na nas.... westchnął głęboko.... i wszystko się skończyło.

Niech mi wolno będzie zarzucić zasłonę na tę scenę rozdzierającą jaka nastąpiła potém, każdy kto ma serce odgadnie ją łatwo, pojmie położenie biednéj opuszczonéj wdowy, z trojgiem sierot! Nikogo z życzliwych obok siebie nie miała, ktoby ją pocieszyć, ktoby jéj jaką radę dać był w stanie, i w obcém miejscu nie w domu do tego. Ale gdy w tym stanie otrętwienia i pozornéj obojętności zostaje, przyjeżdża a raczéj przypada, cały kurzem i znojem okryty biedny nasz pan Józef, pytając co tylko wszedł, gdzie leżą zwłoki jego stryja, chociaż nie wiedział jeszcze że umarł. Tu więc jest miejsce opowiedzieć jedno z tych szczególnych wydarzeń, których pojawy nadnaturalne, zawsze będą nieodgadnionemi dla śmiertelnych.

Staszów od włości, którą rodzice trzymali w dzierżawie, jest oddalonym o mil siedem. Pan Józef bardzo do mego ojca przywiązany, gdy ten odjechał dla kuracji, bardziéj jak zwykle sposępniał, błąkał się wieczorami po ogrodzie i na flecie melancholijnie zawodził. Jednéj nocy zerwał się ze snu około 11 w nocy i zawołał aby mu czémprędzéj zaprzęgano, bo stryj umiera. Przywykli ludzie do jego dziwactw, nie spieszyli się z dopełnieniem tego rozkazu, ale on nie czekając, bieży do stajni, dosiada pierwszego lepszego konia i sam puszcza się wśród nocy na wpół tylko ubrany, o siedem mil nie zupełnie mu znanéj drogi. Tym zaś co mu przekładali niedorzeczność tego postępowania, z uroczystą powagą odrzekł te słowa:

— „Mój stryj nie żyje. Widziałem trupią głowę która mi się pokazała w nogach łóżka. W niéj poznałem rysy stryjowskie, przysięgam wam na zbawienie duszy, że on nie żyje. A tam jego żona... dzieci.... same. I ruszył cwałem, a chociaż za nim natychmiast wysłano bryczkę, zaledwo zdołano o parę mil dogonić.

Pokazało się, że właśnie o téj saméj godzinie mój ojciec skonał. Jest to prawda rzetelna, którą jak kto chce niech sobie tłumaczy, ale zaiste, są cuda na ziemi i na niebie, o których się ani śniło naszym filozofom, a podobno najbliżéj nich są ci, których świat nie pojął i przezwał ich warjatami.

(d. c. n.)

NAD KOŁYSKĄ

(Z PIOSNKI UKRAIŃSKIÉJ)

Chody sońku
W kołysońku....

Śnie malutki,
Śnie cichutki,
Uśpij nasze dzieciąteczko,
Skrzydły swemi,
Drzemiącemi,
Krąż nad jego kołyseczką.

Niech sen łudzi,
Płacz niebudzi,
Niech nabierze sił do woli,
Niechaj rośnie,
Jak kwiat w wiośnie,
Niech go główka niezaboli.

A raniutko,
Gdy piękniutko,
Znowu błyśnie nam słoneczko,
Wesolutkie,
I zdrowiutkie,
Niech się zbudzi dzieciąteczko.

Lecz o zmroku,
Gdy z obłoku,
Zejdzie gwiazdka za gwiazdeczką,
Śnie malutki,
Śnie cichutki,
Uśpij nasze dzieciąteczko.

Jan Prusinowski.

---

* * *

Maj jakoś Bogu dzięki, coraz się bardziéj przyzwyczaja do ciepła, a rozpoczęty śniegiem i mrozem kończy upałami. Mimo jednak całéj piękności krasy w jaką przystroił drzewa i trawniki wszystkich ogrodów i ogródków Warszawskich, nie powiem Wam nic o rozwijających się kasztanach, kwiatkach, fujarkach i ptaszkach, ani o rozpoczętych kąpielach wiślanych i otwartych wodotryskach; ani nawet o wiązkach szparagów, półłokciowych ogórkach, i olbrzymich poziomkach zdobiących wystawę jednego ze smakowitszych naszych handli. Z pierwszemi bowiem, jako nieodłącznemi towarzyszami wiosny, znacie się przewybornie, kąpieli... najprędzéj nie pragniecie, wodotrysków nie zazdrościcie, a na tak kosztowne nowalje nie ostrzycie zębów. Porzucając więc sielankowe westchnienia, rzucę Wam słówko o wyprawie majówkowéj, a raczéj przyokopowéj po piasku po kolana, i o ogrodzie Saskim w każde święto rojącym się gwarną dziatwą. Biedny ten ogród Saski! znam go od lat czterdziestu; małém chłopięciem pędząc z pagórka ze śmiechem, figlami i igraszką, wrzeszczałem uszczęśliwiony: z górki na pazurki, na pazurki z górki! Późniéj w gęstych kląbach, szczelnie osłoniętych krzewami i młodocianą drzewiną, uganiałem się z towarzyszami wojennym uniesiony zapałem; późniéj robiłem wyprawy na gruszki twarde jak kamień, a cierpkie i kwaśne jak ocet; potém, ukradkiem rwałem bez i róże i z platonicznym westchnieniem przyciskając je do piersi, składałem w dani młodziutkim dzieweczkom; późniéj nareszcie ognistym wzrokiem przeszywałem na wskróś przechadzające się piękności, a teraz dyplomatyzuję i marzę o marnościach świata, często na próżno szukając cienistéj ochrony. Z budową bowiem wodociągu znikła gęstwina w kląbach, zapuszczono drzewa, połamano barjerki, i wypłoszono niemal wszystkich śpiewaków skrzydlatych. Dziś znowu przez skrobanie, kopanie, nawożenie, pnie drzew porobiono białemi, trawniki czarnemi, i wygnano biednych psów tych najwierniejszych towarzyszy człowieka.

Nie dziwcie się że na pozór tak błachą zajmuję Was kwestją, alec i pies stworzenie Boże, często szlachetniejsze i poczciwsze od człowieka, a jeżeli utrzymywanie jego dotąd nie wzbronione, jeżeli w pewnych godzinach może bujać z godną zazdrości swobodą po ulicach Warszawy, dla czegóż ma być dla niego zamknięty ogród Saski? Dla czego miejsce publicznéj przechadzki, ma się przemieniać na jakiś wykrygowany, wymuskany, wysztywniony ogród? Kwiat rzecz prześliczna, owoc nader smakowita, ale w ogrodzie publicznym od chwili swego założenia przeznaczonym dla ludności wszelkiego stanu i wieku, zupełnie niewłaściwa. Jedynym bowiem jego celem być miejscem, zabawy dla dzieci, a przechadzki dla starszych. Niech więc będą chodniki osłonięte rozłożystemi lipami i topolami, gęste kląby niech naśladują zarośl leśną i wabią świergocące ptastwo, niech dzieciom wolno będzie biegać, starszym przechadzać się, a podrostków niech nie wiedzie na pokuszenie ani kwiat, ani owoc, tak zawsze dla młodości pożądany. Słowem niech ogród Saski będzie jakby gajem Warszawy, z cieniem, świeżém powietrzem i skrzydlatemi śpiewakami, a zadowolni wszystkich i wszystkim koniecznym i sprawiedliwym wymaganiom zadosyć uczyni. Co do psów dlaczegóżby ich towarzystwo tak miało być wstrętne dla szukających

przechadzki w ogrodzie? Cierpiemy ich w domu i na ulicy, dlaczegóż ogród Saski ma stanowić pod tym względem wyjątek?

Dawniéj nie znając oskrobywania drzew z kory, przekopywania trawników, nawożenia ich nie nader wonnemi materjałami, co wszystko szczególniéj w miejscach publicznéj przechadzki, zwykło się w jesieni a nie z wiosną uskuteczniać, ogród jednak Saski był cienistszy, swieższy i bogatszy w krzewy i drzewa niż to dziś ma miejsce.

Nie dawno jeden z powszechnie znanych i szanowanych medyków Warszawy, opowiadał mi, że w młodszych latach mieszkał ze swym kuzynem mającym dużego psa z gatunku wyżłów. Po wyprowadzeniu się owego kuzyna, pies poszedł za swym panem, i nie wracając nigdy na dawne mieszkanie, nagle we dwa miesiące odwiedził doktora, łasząc się do niego ze szczególną i niezwykłą czułością. Doktór przyjął gościa z największą gościnnością, ale nie mając czasu długiego nim zajmowania się, wyruszył na miasto z odwiedzinami chorych. Na drugi dzień, pies wizytę ponowił, ucieszony medyk tak niezwykłym zaszczytem, głaszcząc go i pieszcząc, spostrzegł z wielkiém zdziwieniem spuchnięte u psa ucho, i napełnione materją. Dopełnione natychmiast przecięcie i wytrzymane z podziwiającą przez pacjenta cierpliwością, udało się jak najpomyślniéj. Pies poszedł do domu i powrócił raz jeszcze coś we dwa tygodnie, ale już z towarzyszem podobnie jak on chorym na ucho. Protekcja przez zacnego medyka przyjętą została nowy pacjent z tą samą cierpliwością co protektor poddał się operacji, jak się jednak powiodła, nie umiem Wam powiedzieć bo chory pies już się więcéj nie pokazał.

Doktór objaśniając tę szczególnego rodzaju praktykę, oświadczył, że pies jego kuzyna, napatrzywszy się różnych chorych, codziennie po radę przybywających, widać instynktowo domyślił się, gdzie w cierpieniu swém znajdzie pomoc i ulgę i dlatego nie tylko sam dla siebie szukał u niego ratunku, ale powodowany wdzięcznością sprowadził i towarzysza. Co do operacji na drugim pacjencie odbytéj, dodał doktór kończąc swe opowiadanie, o téj nie umiem nic powiedzieć, bo praktyka moja na nim skończyła się i już na poczciwych tych stworzeniach więcéj się nie powróciła.

— „Widać że nie wypadła pomyślnie, odezwała się na to pani S. P. z największą powagą, w razie bowiem wyleczenia się, pies to najwdzięczniejsze stworzenie byłby nie zapomniał o doktorze, i werbunkiem licznych pacjentów starałby się z pewnością wypłacić za doznaną bezinteresownie ulgę. Nie dopełniwszy tego, widać że z leczenia nie był zadowolony.”

Rozśmieliśmy się z żartu, i rozmowa zwróciła się do instynktu zwierząt, zadziwiających nieraz wypadków, w jakich szczególniéj psy dają dowody niezwykłéj pamięci, rozwagi a nawet rozumu.

Pisma nasze niedawno pomieściły bardzo ciekawe wiadomości dotyczące zadziwiających zdolności u ludu wiejskiego. W Raciborowicach jest włościanin nazwiskiem Wielgus, który nie znając żadnéj książki mechanicznéj, nie mając najmniejszéj nauki, wykonywa rozmaite pomysły mechaniczne z nadzwyczajną biegłością i dowcipem. Nie ma wsi prawie gdzieby Wielgus nie zostawił dowodu swego talentu. Najznakomitszym jego dziełem jest zegar wieżowy na kościele w Raciborowicach. Przed kilku laty, zbudował wózek którym bez koni, jedynie siłą własnych rąk zajechał do Krakowa, a gdy w jednéj wsi pękł dzwon kościelny i straciwszy głos, miał być przetopiony, Wielgus przepiłowaniem pęknięcia do brzegu, przewrócił mu utracony dźwięk, i zyskał od ludu przezwisko czarownika. Wszystkie pomysły główniejsze układa we śnie, jak przyrządy do młocarń, sieczkarń, zegarów i t. d., w prywatném zaś pożyciu Wielgus jest bardzo skromny, grzeczny i przyjacielski a zupełnie nie chciwym na zyski.

W niektórych znów wsiach około Krakowa znajdują się szkoły samouczków snycerzy, którym początek dał Wawrzyniec Knapiński urodzony we wsi Płazie, w r. 1771, a zmarły w r. 1833. Od młodości okazując wielką zdolnosć do sztuk ręcznych, pracował jako stolarz przy pałacu biskupów, gdzie go Sołtyk poznał i we wsi Lipowcu obdarował gruntem. Knapiński z wielkim zapałem oddawszy się snycerstwu na drzewie, wyrobami swemi napełnił całą okolicę. Lubił szczególniéj wyrabiać Swiętych, i misternie rzezane maleńkie wyobrażenie męki Zbawiciela, umieszczane we flaszeczkach z wązkiemi szyjkami. Lud zwał go bożkiem albo piłuchem. Co jednak najdziwniejsza że zostawił uczniów, jak Bryłkę w Babicach, współzawodnik zaś jego Kacper Sztuka w Czerniakowie wykonał cztery postacie Ewangelistów do kościoła w Rybnie We wsi Bobrek znajduje się także samouczek drzeworytnik, który całą okolicę zaopatruje w obrazki świętych własnego rysunku i rzezania.

ROZMAITOŚCI.

Szesnasta prelekcja Wincentego Pola. Mówiąc o powieści wymienił imiona kilku autorek powieści obyczajowych i historycznych. Pruszakową, Wil-

końską, Żmichowską, Eleonorę Sztyrmer i p. Ziemięcką. Wreszcie do najznakomitszych zjawisk w literaturze powieściowéj należą: Chodźko, Wójcicki, Grabowski, Kośiński, Bodzantowicz. Autor Obrazów litewskich, staje zupełnie na oddzielném oryginalném stanowisku, sam sobie jest wzorem, w dziełach jego widziemy czystą rywalizację z ideałem. Przed oczy nasze stawia żywe plastyczne i tak wierne postacie z różnych warstw społeczeństwa, że jak w wielkich poezjach zostają one typami i wzorami dla wszystkich, co w jakimkolwiek zawodzie powieściowym będą pisać. Niezrównana jego prostota opowiadania, tém właśnie imponuje, że nie widać w niéj nigdzie naśladownictwa a maluje się wysokie zapatrywanie na dzieje, bo Chodźko sięga do téj księgi tradycji, z któréj nikt przed nim nie czerpał i wyrwał z niéj postacie i postawił je żywe, pełne, typowe. Nieco wprzódy zjawiły się powieści Wójcickiego, Obrazki wiejskie z życia ludu mazowieckiego i podlaskiego, oddane w téj samej formie w jakiéj doszły autora z tradycją i przez nie Wójcicki stał się twórcą gawędy. W powieści wiele jest epicznego żywiołu, jest ona niejako odłamkiem epopei, epopeją nowożytną, chodziło więc o nową formę dla tego epicznego żywiołu. Szczęśliwie znalazł ją Wójcicki i nazwał popularnie gawędą jakoby pogadanką starego człowieka. Wynaleźć nową formę nie jest rzeczą łatwą i pospolitą, znalazł ją Wójcicki, bo umiał wcielić się w ducha i żywe słowo tego co mu dało tradycję. Zapewne żaden może z naszych pisarzy nie wtajemniczył się tak jak Wójcicki w to życie starych modrzewiowych dworków i chatek ludowych, poczciwszém nie zbadał sercem, serdeczniejszemi nie opowiedział słowy.

Nowości Zagraniczne.

Petit courier des dames. Spódniczki kolorowe pod suknie utrzymują się ciągle. Na lato robią je z alpagi białéj. U dołu idzie takaż sama falbanka fałdowana, z wypustką kolorową.

Na lato przyjęto powszechnie do rannego ubrania, chusteczki niewarowe batystowe, z szerokim obrębem. Na rogach litery haftowane białą, lilla, albo pąsową bawełną, stanowią całą ich ozdobę. Do ubrania, chusteczki ozdobione są medaljonami z walansienki, albo motylami wprawionemi w batyst. Do koła idzie obmarszczona walansienka.

W sklepach paryzkich przysposobiono na lato ładne wachlarze z czarnego batystu, oprawne w drzewo sandałowe lub cytrynowe. Strojniejsze składają się z rączki szyldkretowéj, i liści zielonych lub fijołkowych jedwabnych.

U sukien coraz mniéj widać wolantów. U dołu tylko dają wąziuchną, fałdowaną falbaneczkę. W stanikach panuje wielka rozmaitość; często bardzo dają się widzieć suknie Gabrjele, nie odcinane w stanie. Suknie te zupełnie są płaskie z przodu, fałdy idą tylko na bokach; w ogólności, obwód sukni u góry nie wielki, dopiero u dołu znacznie się rozszerza skutkiem kulistego kroju.

Pojawiła się w tych czasach nowość do przybrania włosów. Na środku głowy, nad czołem, w miejscu gdzie się nioby rozchodzą, modne panie wpinają motyla z włosów, pięknéj roboty: główka tego motyla emaljowana albo wysadzana kamieniami.

Kolor fijołkowy na suknie i kapelusze, ciągle się utrzymuje, noszą także bardzo kolor Hawanna, i wszystkie odcienia popielate.

Z wełnianych wyrobów na suknie, zalecamy szczególniéj gęsty bareż zwany *poil de chèvre.* Bywa on gładki czarny, popielaty, fijołkowy, niekiedy w drobny rzucik, niekiedy znów w pasy lub w kraty rozmaitych rozmiarów. Robią z niego spódniczki z krótkiemi paletotami. do zapięcia tychże paletotów, służą wielkie guziki z konchy perłowéj.

Na lato ukazują się już kaftaniczki zuawskie pół batystowe ozdobione wszywkami i koroneczką. Pod spód idzie takaż sama Garybaldka, nie przystająca do figury. Zuawki te nosić można do białych lub kolorowych spódnic.

Kurtki ułańskie i gwardyjskie, oraz fraki z długą baskiną z tyłu tak się upowszechniają, że panie różnego wieku pogodziły się z niemi, w téj chwili nie noszą prawie innych. Powiedzmy jednak że na niskich osobach, frak długi bardzo śmiesznie wygląda.

Przytaczamy tu parę całkowitych toalet odznaczających się bardzo dobrym gustem. Pierwsza składała się z sukni czarnéj jedwabnéj, z falbaną fijołkową, którą przysłaniał wolant koronkowy czarny téj saméj szerokości, nad tém szła rusza złożona w połowie z materji fijołkowéj i koronki. Stanik w kształcie fraka z długą baskiną, otwarty był z przodu, pod spód szła kamizelka fijołkowa, spięta na wielkie guziki z perłowéj konchy. Poły fraka przybrane były takiemiż guzikami. Kapelusz do tego czarny włosianny. haftowany perełkami z lawy, z rondem fijołkowém, z szeroką frendzlą lawową. Szarfy u niego fijołkowe, na nich przewiązana barbka koronkowa. Z boku kapelusza wpięta kitka z fijołkowych piórek. Pończochy fijołkowe jedwabne, trzewiki fijołkowe safianowe na obcasach z wielkiemi kokardami na wierzchu.

Suknia do mniejszego ubrania, wełniana koloru Hawanna, w drobne paseczki białe, spięta z przodu na wielkie guziki z perłowéj konchy. U dołu falbanka taka jak suknia krajana ukośno. Do tego krótki paletocik, ubrany odpowiednio, na mankietach i kieszeniach dane były takież same guziki.

Pończochy kolorowe zastąpiły zupełnie białe, wyjąwszy chyba do balowego ubrania. Noszą je tak jedwabne jak i bawełniane, gładkie i w paski. Gładkie nawet, zwłaszcza w kolorze havanna, niewarowym lub popielatym, mają pierwszeństwo nad innemi.

Do wyjścia noszą bardzo krótkie paletociki czarne jedwabne o trzech szwach. Wiele także widać paletocików z tego samego materjału co i suknia. Spódniczki od sukien, czy to w deszcz, czy w pogodę, powinny być ściągnięte w górę na sznurki. Pod spód potrzebna więc ładna spódniczka wełniana. Widzieliśmy takie spódnice przybrane w podłuż na każdym brycie, jedwabną ruszą, przeszło na pół łokcia w górę.

W miejsce podniesionych kapeluszy, przyjęto zupełnie płaskie zwane *Ribs*, takie same jakie były używane dwadzieścia pięć lat temu. Robią je z poult de soie, a częściéj jeszcze z krepy lub tiulu; rondo u nich tak maleńkie, że zupełnie odsłania ucho, dla tego wielkie kolczyki złote, stanowią konieczne dopełnienie takiego kapelusza. Rotondy i chustki z białéj wełnianéj koronki, będą bardzo używane na lato.

Nadzwyczaj wiele widać na ulicy sukien fularowych gładkich lub w drobny rzucik. Do większego ubrania noszą fular w dosyć szeroką kratę. Spódniczka fularowa z krótkim paletocikiem, ogarnirowanym ruszką jedwabną stanowi bardzo ładne i wygodne letnie ubranie.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Deseń na poszewkę haftowany atłaskiem i mięszany ze wstawką z walansienki. — N. 2. Tenże sam deseń w mniejszym formacie, na małą poduszeczkę.— N. 3. 4. 5 i 6. Całość kołnierzyków płóciennych z walansienką i mankietów. — N. 8. Forma mankieta webowego, którego całość oznaczona N. 4-tym. Guziczki przyszywają się wypukłe webowe lub metalowe, w takim jednak razie do prania odparać trzeba. — N. 9. Połowa kołnierzyka płóciennego. — N. 10 i 11. Całość kołnierzyka i mankieta. — N. 12. Połowa kołnierzyka płóciennego. — N. 13. Mankiet którego całość oznaczona N. 11-tym.— N. 14. Połowa kołnierzyka.— N. 15. Połowa kołnierzyka płóciennego najświeższego fasonu; kraje się z dubeltowéj weby, ostębnowywa wokoło i obszywa wązką walansienką. — N. 19. Całość powyższego kołnierzyka. — N. 17. Mankiet odpowiedni do kołnierzyka. N. 18. Całość rękawka z mankietem. — N. 19. Połowa kołnierzyka. Brzeg haftuje się atłaskiem i kratką ażurową.— N. 20. Mankiet.— N. 21. Desenie do rozmaitego użytku. — N. 22. 23 i 24. Wzory czepków i ubrania głowy.— N. 25. Suknia z popielatego fularu wełnianego obłożona plisą z materji w szkocką kratę. Paltocik z materjału sukni wcinany do figury z takimże obłożeniem. Kapelusz z popielatéj słomy ubrany takiemiż wstążkami i piórem.— N. 26. Suknia z alpagi czekoladowego koloru. Paltocik czarny jedwabny, przybrany pasmanterją.— N. 27. Suknia z lekkiego poil de chèvre koloru hawanna, garnirowana czarną ruszą i czarną falbanką u dołu. Staniczek czarny w kształcie gorsecika z szelkami. Szmizetka muszlinowa. Katalanka z czarnéj koronki z pęczkiem kwiatów nad czołem. — N. 28. Spódniczka fularowa w szafirowe i czarne paski. Kaftaniczek kaszmirowy czarny lub szafirowy, haftowany kolorowym jedwabiem.— N. 29. Ubranie chłopczyka. Marynarka, pantalony i kamasze z korciku koloru czekoladowego. Toczek czyli kapelusik okrągły biały ryżowy, objęty czarną wstążką z końcami.— N. 30. Suknia z popielatego gros d'Athène naszyta skosami z téj saméj materji i wstawkami gipiurowemi. Stanik gładki z bawetem. Rękawy prawie obcisłe. Rotonda z materjału sukni garnirowana szeroką koronką. Kapelusz z białéj włoskiéj słomy, ubrany wstążką koloru *maïs* i frendzelką jedwabną odmiennéj barwy. Podpięcie z blondynki i kłosów. — N. 51. Litery T. E.

Opis formy sukienki fałdowanéj i gładkiéj dla chłopczyka, stanika dla dziewczynki 5. letniéj i pantofla.

N. 1. Połowa sukienki fałdowanéj na bokach, dla małego chłopczyka. — N. 2. Połowa rękawa na którym się oznacza mankiet.— N. 3. Przednia część sukienki gładkiéj dla 3-letniego chłopczyka.—N. 4. Połowa pleców.— N. 5. Połowa rękawa. — N. 6. Połowa kołnierzyka stojącego. — N. 7. Przednia część stanika dla dziewczynki 5-cio letniéj. Ta sama forma posłużyć może na stanik pod szyję i czworograniasto wycięty, jak wykrój oznaczony.— N. 8. Połowa pleców. — N. 9. Połowa rękawa. N. 10. Boczek do pleców.—N. 11. Boczek do przodu.— N. 12. Mankiet do rękawa. — N. 13 i 14. Desenie na pantofel do wyszycia sutaszem, albo ściegiem łańcuszkowym. Alfabet i korony do znaczenia bielizny. Litery haftują się atłaskiem białą bawełną, obwódki koło nich robią się pąsowe.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołączają się desenie do haftu, oraz formy: sukienki fałdowanéj i gładkiéj dla chłopczyka, stanika dla dziewczynki 5-cio letniéj i pantofla. W osobnym dodatku Spis przedmiotów na rok 1863.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Warszawa dnia 21 Maja 1864 roku.

JAN HALIFAX,

POWIEŚĆ M^ss MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

— Czy pamiętasz Fineas kiedyś przyszedł odwiedzić nas po raz pierwszy, i zastałeś oboje przy pracy?

— Pamiętam: Urszula miała suknię białą i kapelusz słomkowy z niebieskiemi wstążkami. Tak wyglądała młodziutko, jak dziś nasza Magdalenka.

Przypomnienia te rozweseliły nieco Urszulę ukryła przed mężem powody niepokoju, nie chcąc mu zakłócać dnia tego.

Lord Rawenel opuścił nas wieczorem, miał nadzieję że Janek zaprosi go na wesele, inaczéj jednak się stało.

Przy licznych zajęciach, wyszło mi z pamięci wszystko co lord Rawenel mówił o towarzystwach w jakie uczęszczał Artur, i dopiéro przypomniała mi to Urszula przynosząc list który miałem oddać na pocztę.

— Nie ociągaj się Fineas, rzekła niespokojnie, oddaj go natychmiast. To zapewne ostatni mój list, Artur powraca do domu.

— Jakto, powraca na wesele?

— Nie, ale zaraz potém. On już zupełnie uspokojony, i tylko cieszy się myślą powrotu między swoich.

Nadzieja powitania syna, dodawała nowych sił dobréj matce. Zdawało się że odmłoniała o jakie lat dziesiątek; przez cały tydzień przygotowania weselne, i inne milsze może jéj sercu, wyłącznie ją zajmowały.

Janek pragnął też jak najprędzéj powitać syna, ale radość jego pomięszana była z obawą, którą starał się ukrywać w obec żony.

W wigilję ślubu, spotkałem Urszulę jak z rozpromienioną twarzą wychodziła z pokoju Artura, pokój ten od odjazdu jego pozostał zamknięty. Matka otworzyła drzwi z uśmiechem.

— Chodź tu Fineas, rzekła do mnie, patrz jak wszystko pięknie ułożyłam.

W rzeczy saméj, pokoik prześlicznie wyglądał z białemi jak śnieg firankami. Bibljoteczka starannie była ułożona, przybory myśliwskie symetrycznie rozwieszone na ścianach.

— Wybornie, zawołałem, ale wątpię żeby ten porządek utrzymał się tu długo.

— Prawda, on taki nieuważny, rozrzucał zawsze swoje rzeczy po całym domu.

I dobra matka rośmiała się, drżąc cała od radości.

— Chciałbym wiedzieć czy się téż odmienił.

— Zapewne, donosi że mu cera ogorzała, i że zapuścił wielką brodę. Może go nie poznam od razu.

Tkliwy wzrok matki, zaprzeczał wymownie tém słowom.

Artur nie zagrzeje miejsca w domu, rzekłem. Jeszcze nie wrócił a już odebrał liczne zaprosiny.

— Tak, odparła smutno matka, będą mi go wydzierać. Sir Herbert urządza w przyszłym tygodniu wielkie polowanie. Artur tak lubił bywać w zamku.

Urszula uśmiechnęła się słodko. Odgadłem natychmiast że myślała o ulubionéj sobie Marji Oldtower która jak mówiono, odrzuciła najświetniejsze partje w hrabstwie, z wielkiem zgorszeniem wszystkich, oprócz pani Halifax.

— No chodźmy ztąd Fineas, rzekła, z westchnieniem jakby zatrwożona, czy ją marzenia nie unoszą zbyt daleko. Pokój gotów, może więc przyjechać każdéj chwili.

I zamknęła drzwi na klucz. O! kiedyż otworzyć je miała?

Następny poranek jasny był i promienny. Słońce świeciło pogodnie, radość ożywiała wszystkie oblicza. Oprócz rodziny nikogo obcego nie zaproszono na wesele. Nikt w sąsiedztwie nie wiedział nawet kiedy się odbyć miało.

Stałem z Magdalenką w sieni, reszta osób była jeszcze na górze, zajęta ubieraniem, kiedy spostrzegliśmy zdziwieni, powóz Lorda Rawenel, wypakowany do podróży, skręcający w bramę.

Zajechawszy przed ganek, lord wyskoczył z pośpiechem, wzdrygnął się gdy ujrzał Magdalenkę w białéj sukni, w kwiatach na głowie.

— Czy to dziś ślub? zapytał, wcale o tém nie wiedziałem.

I chciał wsiąść napowrót do powozu.

Zapytałem czy nie widział Artura.

— Nie widziałem go, odrzekł.

— Myśleliśmy że to Artur jedzie, dodała Magdalenka. Co chwila go czekamy. Nie miał pan czasem od niego wiadomości? Czy mu się co złego nie stało....?

— Sądzę że nie.

Krótka ta odpowiedź, zaniepokoiła mnie trochę. Lord Rawenel nie mógł oderwać oczu od Magdalenki, która zaprowadziła go gwałtem do pokoju ojca, sama zaś pobiegła do matki opowiedzieć jéj co się stało.

Byliśmy wszyscy w salonie, kiedy Janek wszedł w towarzystwie Lorda Rawenel.

Witamy pana, rzekła uprzejmie pani Halifax. Pozwól pan że dziś uważać go będziemy za członka rodziny, prosząc aby był obecnym przy ślubie Edwina.

Lord Rawenel skłonił się z poszanowaniem. Magdalenka mi powiedziała że pan nie wiesz nic o Arturze, wątpię aby dziś przyjechał, jutro go zapewne dopiéro powitamy.

Lord skinął głową nie wyrzekłszy słowa. Rozmowa przeszła na inny przedmiot! Urszula mowiąc bawiła się frendzlą chustki, którą Artur przysłał jéj w upominku. Promień słońca padał przez okno, na ciężką suknię popielatą, jedwabną, która jéj pięknie przystawała do twarzy.

Patrzałem na nią, kiedy Janek zawołał mnie po imieniu. Poszedłem za nim do bibljoteki.

— Zamknij drzwi, rzekł zmienionym głosem.

— Cóż to? zawołałem, czy się stało jakie nieszczęście?

— Opowiem ci wszystko.... jeśli zdążę....

Kiedy to mówił gwałtowny ból schwycił go w sercu.

Wziąłem za klamkę, chcąc zawołać kogo na ratunek. Janek skinął ręką, mówiąc:

— Nie wołaj nikogo.... To rzecz zwyczajna. Daj mi wody.

Wypił szklankę wody, odetchnął i pomału przyszedł do siebie. W téj chwili dobiegł nas wesoły śmiech Magdalenki.

— Ojcze! gdzie jesteś? wołała, czekamy tylko na ciebie.

— Idę natychmiast drogie dziecię, rzekł Janek głosem zwyczajnym uchylając drzwi, potém zamknął je i rzekł prędko.

— Fineas, wolałbym żebyś nie szedł z nami do kościoła. Wymyśl jakikolwiek bądź pozór. Napisz w mojém imieniu list do Paryża, pod tym oto adresem. Powiédz że ojciec Artura Halifax przyjedzie tam niezawodnie za tydzień, i uczyni zadosyć wszelkiem żądaniom.

— Jakim żądaniom? zapytałem przerażony.

Janek powtórzył jeszcze raz co mam napisać.

— Zaklinam cię rzekł, nie zmieniaj ani słowa. Oddaj list na pocztę, przed naszym powrotem.

Głos Urszuli dał się w téj chwili słyszéć.

— Janku czyś już gotów?

— Natychmiast kochanko, odrzekł, kładąc rękę na klamce. Rozumiesz Fineas, dodał, bądź ostróżny.... ona nie powinna o tém wiedziéć.

— Tylko słowo, przerwałem, czy Artur żyje? czy zdrów?

— Tak, tak.

— Dzięki Bogu.

Zaspokojony o życie i zdrowie Artura, szedłem do salonu, gdzie rodzina czekała zebrana. Ledwie żem się mógł opędzić zapytaniom, czemu nie idę ze wszystkiémi.

Rodzina wybrała się niebawem. Pani Halifax szła piérwsza, oparta na ramieniu Edwina; Magdalenka Walter i lord Rawenel, postępowali za nią. Janek zamykał pochód prowadząc pod rękę Ludwikę, przeszli ogród i przez lasek bukowy udali się na wzgórek do kościołka. Napisałem list i wyprawiłem go natychmiast, poczém udałem się do bibljoteki i zbrojąc się w odwagę przeciw przewidywanemu nieszczęściu jakie nam zagroziło, mordując się z myślami i różnemi przypuszczeniami, chwilowo zapominałem nawet o Arturze, trwożąc się szczególniéj o zdrowie Janka. Co znaczył ten gwałtowny ból w sercu? Byłaż to choroba? lecz nigdy nic skarżył się na nic i od trzydziestu lat nie widziałem go chorym. Uważałem jak prowadził Ludwikę przez ogród, szedł krzepkim krokiem, nie okazującym najmniejszego znużenia lub słabości. Wreszcie Janek nie miał nigdy tajemnicy dla otaczających go osób, gdyby się czuł słaby, czyżbyśmy nie wiedzieli o tém?

W téj chwili dzwony kościołka zabrzmiały radośnie. Obrzęd znać był już dopełniony, poszedłem na spotkanie młodych małżonków, zbliżających się w towarzystwie wszystkich mieszkańców z Enderly, którzy witali ich z serdecznością rzucając kwiaty pod stopy.

Wśród tego radosnego tłumu, oczy moje ścigały tylko Janka.

Pozostał chwilę na ganku i krótkiemi słowy dziękował poczciwemu ludowi, prosząc aby podzielił z nami ucztę weselną.

Lud odpowiedział głośnym i serdecznym okrzykiem. „Niech Bóg błogosławi młodéj parze!”

Przez cały dzień, szczególniéj podczas weselnéj uczty, Janek zachował spokojną zupełnie postawę, ale gdy wszyscy otoczyli nowożeńców, zbliżył się do mnie i rzekł.

— Czyś wypełnił wszystko co poleciłem.?

— Cóż takiego, zapytała niespokojnie Urszula.

— Prosiłem go żeby napisał list w mojém imieniu, rzekł Janek obojętnie.

— Czy list z interesem.

— Tak jest, pomówiemy o tém dziś wieczór.

Urszula zdawała się być zaspokojoną.

— Jak chcesz mój Janku, rzekła, wiesz że nie należę do zbyt ciekawych kobiet. Gdyby to jednak było coś ważnego, myślę żebyś przedemną nie taił. Wszak prawda?

— Prawda, prawda kochanko!

Zrozumiałem wtedy, że nieszczęście, jakie nam groziło było już bez ratunka. Janek chciał je przez kilka godzin zataić przed żoną i dziećmi, aby w dniu tak uroczystym, nie zakłócać szczęścia młodéj parze.

Wniósł toast za zdrowie nowożeńców, dał im ojcowskie błogosławieństwo, i zaprowadził ich sam do powozu.

Edwin uścisnął tkliwie matkę, prosząc ją aby powitała za niego Artura.

— Ten odjazd przypomina mi rozstanie z Arturem, rzekła matka ocierając łzy z oczu. Czy myślisz Janku, że może dziś przyjechać?

— Czemu nie? mój list doszedł go niewątpliwie. Lord Rawenel był od tego czasu w Paryżu i powrócił. Ale.... dodał zwracając się do lorda: wszak pan nie widziałeś się wcale z Arturem.

— Nie.

— Czy miałeś od niego wiadomość? spytała matka.

— Lord Rawenel przywiózł mi list dziś rano, odrzekł ojciec.

— List od Artura i nie wspominałeś nic o tém? Rzecz dziwna.

Mocny rumieniec wystąpił na lica Urszuli; spojrzała bystro na lorda, który stał pomięszany nie wiedząc co powiedzieć.

Byliśmy wszyscy w sieni. Janek wziął żonę pod rękę, i wprowadził ją do bibljoteki.

— Daj mi list, błagam cię, rzekła matka. Dzieci odejdźcie ztąd, potrzebuję pomówić z ojcem waszym. Daj że mi list Janku.

Drżącą ręką pochwyciła pismo. Nim otworzyła list, spojrzała na męża niespokojnie.

— Czyżby pisał że nie powróci? zapytała. Ja wszystko zniosę.... ty wiész.... ale trzeba żeby wrócił do domu!

— Czytaj, rzekł Janek, biorąc drżącą jéj rękę.

List zawarty był w tych słowach.

Drogi ojcze, najdroższa matko!

Rumieńcie się za syna waszego.... Zapomniałem się.... Byłem pijany w domu gry, kiedy człowiek jeden znieważył mnie.... było to z powodu ojca mego. Wkrótce dowiecie się szczegółów, cały świat pozna je niebawem. Uderzyłem go. Miałem broń w ręku, i zadałem mu ciężką ranę.

Człowiek ten może już umarł.... Dziś wieczór odpływam do Ameryki. Nie powrócę nigdy do domu.

Niech was Bóg wszystkich błogosławi.

Artur Halifax.

P. S. Dziś odebrałem list matki.

Byłem bezprzytomny, inaczéj nie byłbym się dopuścił czynu, który mnie stawia na równi ze zbrodniarzami.

Matko droga, zapomnij o mnie. O mój Boże! przebacz mi że rozdzieram serce najlepszéj z matek.

— On już nie wróci, on nie wróci! zawołała Urszula, i upadła bezprzytomna na ziemię.

Janek pochwycił ją w objęcia, przez kilka godzin nie podobna było przywrócić ją do zmysłów.

Tak się skończył, weselny dzień Edwina.

XXXVIII.

Lord Rawenel obecny podówczas w Paryżu, wiedział dokładnie co zaszło, lubo jak mówił, nie widział się z Arturem. Zmuszony opuścić natychmiast Francję, aby ujść rąk sprawiedliwości, Artur napisał do lorda prosząc go, aby wręczył list rodzicom, i sam oznajmił im okropną przygodę.

Człowiek którego Artur uderzył, nie należał do orszaku Lorda Luxmore. Był to Anglik, który odziedziczył niedawno w raz z majątkiem tytuł baroneta. Nazywał się Gerard Wermilje. Lord Rawenel wyrzekł spokojnie to nazwisko. Udaliśmy że je słyszemy po raz piérwszy.

Kiedy Urszula przyszła cokolwiek do siebie, Janek i Lord Rawenel, wyjechali natychmiast do Paryża. Trzeba było uczynić zadosyć wymaga-

niom prawa, a co więcéj należało powziąść jakąśkolwiek wiadomość o Arturze.

Matka sama nagliła ich do wyjazdu. Biedna matka, podobniejsza do grobowego widma niżli do żyjącéj istoty, krążyła bezustannie w koło domu, zalewając się łzami, na widok pokoiku Artura, od którego drzwi i okienice, znowu były zamknięte.

Czas nieobecności Janka wydawał nam się wiekiem, Walter i ja chowaliśmy pilnie dzienniki, w obawie aby nieszczęśliwa matka, nie wyczytała w nich jakiego ustępu o Arturze, którego nazywano zbrodniarzem i mordercą. Daremne były nasze usiłowania: chciała koniecznie wszystko czytać, wszystko słyszéć i wiedziéć, przyjmowała nawet odwiedziny nowych sąsiadów. Wkrótce jednak odwiedziny stały się coraz rzadsze, pozostała nam tylko dobra Marja Oldtower. Widok jéj radował serce biednéj matki.

— Przyjeżdżaj do mnie często, mówiła Urszula, choć tu tak smutno, odkąd Janek wyjechał.

W rzeczy saméj, dom smutny przedstawiał obraz. W każdéj chwili dała nam się czuć nieobecność Janka, który był niejako duszą domu. Z tęsknotą poglądaliśmy, na opróżnione miejsce przy stole i u ogniska, nadstawialiśmy ucha, aby usłyszéć głos jego tak dobrze znany.

Rozłączenie to jakkolwiek przykre dla Urszuli, działało przecież zbawiennie na jéj umysł: przypominało jéj bowiem, że tracąc Artura, nie straciła wszystkiego z nim razem. Przypomniała sobie, że ma do spełnienia najświętsze ze wszystkich powinności, żony, względem małżonka.

Pomału nabrała odwagi. Listy męża ożywiły nadzieję w jéj sercu, wszystkie jéj myśli skierowały się wyłącznie do niego. Oczekiwała jego powrotu z najżywszą niecierpliwością, a kiedy wreszcie dał znać że przybędzie w dniu naznaczonym, uważałem jak zebrała wszystkie jego listy w jeden pakiecik i związała je razem.

— Ha! dzięki Bogu rzekła, to zapewnie ostatnie.

W dzień przyjazdu ubrała się starannie, Magdalenka ułożyła jéj włosy, przedwcześnie posiwiałe, i potém drżąca od wzruszenia, zapłoniona jak młoda oblubienica, czekała powrotu męża swego. Dzięki Bogu! sprawa Artura nie tak źle stała, jak sądziliśmy. Bez trwogi też wyglądaliśmy przybycia Janka: kiedy wysiadł z powozu, żona otoczona dziećmi czekała go przed gankiem.

Janek miał postać poważną, lecz nie zdawał się złamany nieszczęściem. Gdy piérwsze wrażenie minęło, opowiedział nam, że popłacił wszystkie długi syna, że zapewnił mu stosowne utrzymanie w Ameryce i że pozostało nam tylko poddać się i czekać cierpliwie aż czas złagodzi pamięć téj smutnéj przygody. Zresztą Artur nie mógł sobie wyrzucać śmierci Gerarda Wermilje, gdyż ten przyszedłszy wkrótce do siebie, stał się prawdziwym bohatérem salonów.

Nazajutrz Edwin przyjechał z Ludwiką, a gdyśmy po śniadaniu chodzili po ogrodzie z Jankiem i Urszulą rozmawiając o przyszłości młodych małżonków, przyniesiono z poczty list Lorda Rawenel.

Janek odczytał go z uwagą, lord zapowiadał rychły powrót z Francji. Przy czytaniu uważałem że jakby cień niechęci przemknął się po czole obojga małżonków.

— Biedny Rawenel, rzekł Janek z westchnieniem.

— Janku, zapytała Urszula, będąc w Paryżu czy nie słyszałeś nic o niéj....? wiész o kim chcę mówić....

— Nic a nic.

— Czyś się dowiadywał?

— Janek skinął głową w sposób potwierdzający.

— Domyślałem się tego, ona już nie młoda, może nie żyje.... Biedna Karolina!

Usłyszawszy to imię, wspomniałem mimo woli inne nazwisko, które dziwnym zbiegiem okoliczności tak złowrogo oddziałało na los naszéj rodziny.

Lord Rawenel powrócił i niebawem przybył do Beechwood. Obecność jego smutne w rodzicach obudziła wspomnienie. Dzieci tylko wesoło z nim szczebiotały.

Co dzień prawie przyjeżdzał konno z Luxmore-Hall, a gdy dnia jednego chciał koniecznie zawieść tam Waltera i Magdalenkę, aby im pokazać odwieczne jodły, Janek oparł się temu.

— Luxmore-Hall, to nie Compiegne, rzekł lord do mnie, uśmiechając się ze smutkiem i goryczą. Pan Halifax mógłby pozwolić dzieciom na tę przejażdżkę.

I mówiąc to ścigał wzrokiem białą sukienkę Magdalenki, przesuwającą się na zielonym trawniku, pomiędzy gąszczami dzikiego kląbu.

— Jak ta dziewczynka wyrosła, odezwał się po chwili a oczy jego dziwnym błysnęły ogniem; wiele ona ma lat, zapewne dziewiętnaście?

— Skończy siedmnasty rok w grudniu.

— Taka młoda. Mój Boże! co to za skarb młodość! kochana Magdalenka.

I przysłonił oczy ręką, jakby zasłaniając je od promieni słonecznych.

(d. c. n.)